

## WESELE

Dwa tygodnie później byliśmy w drodze na ślub Aichy. Najpierw grzecznie odmówiłem zaproszenia. Lecz rodzina Berty nie poddała się, nalegali, dzwoniąc na zmianę. W końcu to my się poddaliśmy i stąd ta wyprawa. Do opieki nad Tomą, domem i psami zaangażowaliśmy całą naszą rodzinę. To znaczy moich rodziców i dziadków. Dziadek, jak to miał w zwyczaju, przyjechał samochodem pełnym pierwszych jarzyn. Miał tam rabarbar, młode sałatki, makaron domowej roboty. Babcia upiekła placek – ten mój ulubiony: z rabarbarem i truskawkami, posypany grubą warstwą chrupiącej kruszonki. Znalazła się też dwukolorowa babka oblana lukrem, posypana migdałami. I jakby tego było mało – pudło gofrów. Nie chcę myśleć, ile czasu zajęło przygotowanie do podróży. Co tu ukrywać, wszyscy byli zadowoleni. Moi rodzice też załadowali samochód z zabawkami, książkami dla mnie. Babci dostały się butle witamin, dziadziowi ciepły elegancki sweter. Mówiąc krótko, mieliśmy drugie Boże Narodzenie, w maju.

Mama z dumą wyciągała z pudła suknie, prezent dla swojej synowej.

– Iza, kochanie, musisz jakoś wyglądać na tym weselu, na pewno nie masz nic ciekawego w garderobie. Popatrz, to ostatni krzyk mody, prosto z Włoch, przepiękny armani. Nie umiałam się oprzeć, żeby ci nie kupić. – Mama była wyraźnie zachwycona sukienką.

Rzeczywiście, moja żona wyglądała przepięknie w tym armanim. Mama dbała o swój wygląd i styl, w przeciwieństwie do mojej żony, która na okrągło nosiła spodnie, swetry i koszule. No, do malowania wciągała jeszcze obszerny fartuch. Zawsze wiedziałem, jaki kolor dominował w jej obrazach – to był również kolor dominujący na fartuchu. Nazwałem tę część jej ubrania picasso. Fartuch ów był już tak stary, że chyba po odłożeniu go mógłby stać pionowo, twardy od ilości zaschniętej farby.

– Mama chodzi w picasso. – Toma też ubierał swoje picasso, ustawiał swoje sztalugi obok i naśladował mamę, taplał farbami metry papieru do tapetowania.

Rodzice i dziadkowie byli najwidoczniej bardzo zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Nie wiem, czy ta radość będzie długo trwała, ale jak żeśmy ich zostawiali, to wszyscy wyglądali na szczęśliwych. Z wyjątkiem mojej żony – martwiła się o wszystko i wszystkich. Wypisała dużymi literami instrukcję, jak żywić rodzinę, numery straży pożarnej, lekarza, pogotowia, weterynarza, hydraulika, elektryka i inne. Jakby dla wszystkich było to coś nowego.

Iza, zmęczona ostatnimi emocjami, przespała prawie całą drogę. Gdy jednak tylko zjechałem z autostrady, od razu się obudziła. Ciekawie rozglądała się po okolicy, szukając w pamięci znanych miejsc. Jechaliśmy powoli alejką w stronę domu Berty. Właściwie tu nic się nie zmieniło – ogród z kwiatami, miniaturowy golf, powycinali trochę starych drzew, zrobiło się jaśniej. Zwolniłem samochód, byłem ciekawy, jak Michel dał sobie radę z rozwiązaniem kwestii dołków i ścieżek.

– Stój! – krzyknęła Iza, chwytając kierownicę. – Nie widzisz?!

Nacisnąłem hamulec, samochód stanął. Na środku drogi siedział czarny kot. Siedział i patrzył na nas bez żadnej najmniejszej obawy.

– Maks, sam widzisz, że miałam rację. – Iza trzymała mnie dalej za rękę, wpatrzona w kota. Mówiła dalej, ścisząc głos: – Mówiłam ci, tu wszystko jest inne, widziałeś, jak on

na nas patrzy? Zawsze w starych zamkach, gdzie straszy, jest czarny kot. Widzisz, miałam rację, nawet samochód się zatrzymał.

– Kochanie, samochód ja zatrzymałem, nie widzę powodu, dla którego miałbym przejechać tego kota, a kot jak kot, czarny też chce żyć. Nie stresuj się, nie szukaj Madame Lili za każdym razem, kiedy coś wydaje ci się podejrzanе. Jesteśmy na miejscu. Daj spokój. A w starych zamkach są jeszcze stada wron i pełno innych bzdur. Uspokój się. Muszę ci przypomnieć, że tego kota widzieliśmy już raz, jak opuszczaliśmy posesję. Widocznie gdzieś tu mieszka. Bez paniki.

Podjechaliśmy pod garaże. Postawiłem samochód obok znanego mi już weterana wojennego Michela, tego samego, którym jechałem do weterynarza. Nie byliśmy sami. Skierowaliśmy się od razu na tyły domu, jak na stałych bywalców przystało. Przy jednym ze stolików, zaciągając się papierosem, siedział nieznany mi młody chłopak. Przymykając oko, oglądał jeden z wielu aparatów fotograficznych ułożonych obok popielniczki pełnej niedopałków. Na nasz widok powoli odłożył aparat na stół, zaciągając się dymem, i zgniótł papierosa.

– Maks z żoną. Miło mi, Izabella, jesteś naprawdę piękna. – Głośno całował moją zaskoczoną żonę po policzkach, ścisnął mocno moją dłoń. – Cieszę się, że mogliście przyjechać. – Oczywiście było, że wiedział, kogo ma przed sobą. My nie mieliśmy pojęcia.

– Cieszę się również, że cię poznałem. Gratulacje, poślubi pan doskonałą kucharkę, jej barania pieczeń to prawdziwy przysmak dla podniebienia. – Odwdzieczyłem mu się szerokim uśmiechem.

Popatrzył na mnie uważnie i wybuchnął śmiechem.

– Nie zgadzam się, pieczeń mogłaby przyrządzać lepiej. Mamo – krzyczał, otwierając drzwi domu – Maks z żoną przyjechali!

Jak na hasło z domu wyleciały jamniki, przeraźliwie ujadając, za nimi Berta, Dominika, Ania, Michel, Mikołaj, Aicha

z wałkami na głowie i jeszcze jakieś osoby, których nie znałem. Okazało się, że to kuzynki i siostra Michela. Widocznie wszyscy czekali tylko na nas.

– Nie, mój stary... – Nieznajomy klepał mnie po plecach. – Ja jestem bratem Aichy. Podobno przyszły mąż nie może widzieć swojej przyszłej żony przed ślubem, dlatego nie ma go tutaj. To takie bzdurne zabobony. Poznasz go jutro. Krzysztof, mów do mnie Kris, jak wszyscy. – Klepał mnie po ramieniu, uśmiechając się przy tym.

Trafiliśmy akurat na kolację. Przy stole oczywiście tematem było jutrzejsze wesele. Berta, zdenerwowana, dawała z siebie wszystko, spędzała czas między telefonem a kuchnią.

Po kolacji Kris mrugnął, wołając mnie do ogrodu.

– Daj spokój, chodź na papierosa. Jestem tu parę dni, a już mam dość, mama zwariowała z tym weselem, Aicha taka nerwowa. Wszyscy poszaleli, a przecież to tylko wesele. Mikołaj, gdzie mama trzyma te butelki wina na wesele? – zwrócił się do szwagra.

Ten podniósł palec do góry.

– Wiem – odpowiedział i zniknął za drzwiami. Po chwili taszczył kosz z butelkami.

Siedliśmy przy stole w ogrodzie. Mikołaj postawił na nim wino, ser, nappełniłem szklanki. Kris trzymał w rękach jeden z aparatów, z obiektywem prawie jak teleskop, tłumaczył jego działanie. Śledziliśmy z uwagą, jak trzeba kręcić, gdzie trzeba ustawić, zmienić ostrość, gdzie nacisnąć. Potem objaśnił, jak działają jeszcze trzy następne. Nie wiem, czy Mikołaj zapamiętał wszystko, ja nic albo niewiele.

Krzysztof jest fotografem z zamiłowania i dziennikarzem z wykształcenia, do tego ma naturę awanturnika podróżnika. Łatwo udało mu się dostać pracę w redakcji National Geographic, znanego pisma amerykańskiego. Co tu ukrywać, daliśmy się oczarować jego opowiadaniu. Do słów dołożył także gesty. Poruszony do żywego losem nosicieli siarki na Jawie,

z podnieceniem opowiadał niczym o dymie wydobywającym się prosto z uchylonych drzwi piekielnych. W ciągłym, mdłym zapachu zgniłych jaj fotografował biednych wieśniaków, którzy z koszami napełnionymi żółtym kamieniem zsuwają się z gór. Schodzą to za mało powiedziane! Oni robią to prawie biegiem, ciężkie kosze chybotają się na ramionach, które po jakimś czasie są całkowicie zniekształcone od tych kilogramowych ciężarów. Ty musisz uważać, bo o mało cię nie rozdepczą.

– Żebyście to widzieli! – pokazywał, podskakując przed nami, jak wyglądają nosiciele. – Nie trzeba narzekać na życie tutaj. Ci młodzi chłopcy mają nadzieję, że życie ich dzieci będzie lepsze, sami nie dożywają pięćdziesiątki. Próbowałem nieść ten kosz, koledzy, zrobiłem pięć kroków! – mówił prawie oburzony. – To wszystko, żebym ja mógł zapalić zapalką papierosa. – Co też zrobił, zaciągając się dymem. Opowiadał dalej.

A ja, patrząc na jego policzki, które napinał, naśladując magmę w kraterze wulkanu na szczycie Nyiragongo w Kongo, widziałem jezioro lawy. Miałem wrażenie, że słyszę ogromny huk wzburzonego wnętrza ziemi, gdy wchodzę na szczyt po czarnym popiele. Wspinałem się po skrzepłej lawie na prawie wszystkie wulkany świata, czułem duszące gazy w gardle i trzęsącą się ziemię pod nogami. Patrzyłem w niebo i widziałem pociski z lawy, które bombardowały okolicę i uderzały w ziemię w pobliżu niego. Opowiadał z podziwem o ludziach, którzy żyją na tych stokach. Mówiąc krótko: czułem całą jego pasję, jaką doskonale umiał się podzielić.

Jego największym marzeniem było wtedy wydać książkę, album ze zdjęciami z opisem wulkanów świata. Co zresztą zrobił parę lat później – dostałem ją w prezencie z dedykacją. W późniejszym czasie komentował swoje filmy w telewizji francuskiej – oczywiście także o wulkanach. Znany był na całym świecie.

Na razie chłodziliśmy spieczone gardło winem, a że gazy wulkaniczne wysuszają, co rozumie się samo przez siebie,

to butelki opróżnialiśmy w szybkim tempie. Zwykle ktoś, kto opowiada o swojej pasji, jest nudny dla innych. Ale on, jak na dobrego dziennikarza przystało, opowiadał ciekawie, porównawczo, malowniczo, posiadał duży talent mimiczny lub aktorski, co przeniosło nas daleko, na szczyty dymiących wulkanów. Dobrze pamiętam jeszcze to, jak część gości poszła w tę zarośniętą stronę ogrodu, potem widoczność przesłonił mi dym wulkaniczny.

– Idą spać do domku Aichy – wyjaśnił Kris. – Tu nie ma już miejsca dla wszystkich. Nie martw się, Madame Lili nie wszystkich ma na oku, ty jej widocznie przypadłeś do serca.

Wcale się nie martwiłem. W tym momencie byłem nawet gotów wyzwać ją na pojedynek i stawić jej czoła; tylko najpierw poszukam jakiegoś kasku, tak żeby spotkanie było dla mnie bezbolesne. Takiego, jaki mają gracze niezrozumiałego dla mnie futbolu amerykańskiego. Najwidoczniej znał szczegóły mojej przygody. Gdzieś nad ranem znalazłem drogę do naszego pokoju. Słyszałem, jak Iza gada coś o wybuchu, że coś ma mnie zalać czy przelać; mówiła o jakiejś lawinie plastycznej. Coś chyba jej się śniło.

Noc była krótka. Wyjątkowo. Rano Iza rzuciła mi na twarz ubranie, krzycząc, że mam dwadzieścia minut:

– Masz dziesięć minut na prysznic i dziesięć na ubranie. Wszyscy już są gotowi. Na miłość boską, trzymajcie mnie, bo wybuchnę! – Puściła wodę pod prysznicem i trzaskając drzwiami, zostawiła mnie samego.

Zdecydowanie, wulkany mają powodzenie – teraz to nawet Iza tylko o tym mówi. Na dole wszyscy czekali już tylko na mnie. Rzuciłem nieśmiało „dzień dobry” i siedziałem w kowrozdzie samochodów. Samochód panny młodej to żółty rolls-royce, kabriolet udekorowany kwiatami i wstążkami. Za kierownicą Michel, z tyłu Aicha, której welon powiewał na wietrze.

Iza podała mi aparat fotograficzny.

– Masz, jakbyś chciał robić zdjęcia. Kris mi dał, podobno kupiłeś od niego wczoraj. – Dostrzegła moje zmagania z pamięcią i dorzuciła: – Nie pamiętasz? Powiedział, że go kupiłeś i nawet zapłaciłeś.

– Ależ oczywiście, że pamiętam – cygańcem – tyle że nie mam filmu, a bez tego nic nie mogę zrobić.

– Klisza jest w środku – burknęła.

Gdzieś w środku głowy zaczęło błyskać jakieś światełko. Film nabierał ostrości. Flesz błysnął, wiedziałem! Rzeczywiście kupiłem jeden z jego aparatów, oczywiście, że pamiętam! Mi-nęliśmy posterunek policji, który również dobrze pamiętałem, a to znaczyło, że moja pamięć mnie nie zawodzi.

Samochody ustawiały się na parkingu. Wysoki młodzieniec podał Aichy wiązanek kwiatów, domyśliłem się, że to jej narzeczony, a osoby obok to jego rodzina. Wszyscy skierowali się do budynku. W tłumie ludzi przed wejściem zauważyłem ogromny żółty kapelusz Dominiki. W sali za ogromnym biurkiem stał uśmiechnięty siwy mężczyzna, czekając, aż wszyscy znajdą swoje miejsca; poprawiał trzykolorową wstęgę. Usiedliśmy z brzegu w ostatnim rzędzie.

Kris machnął mi ręką na powitanie. Ustawiał się i robił zdjęcia wszystkim po kolei, to do niego należało upamiętnienie tego ważnego dnia – zdjęcia to była wszak jego specjalność. Zabrzmiał marsz nupcjalny i młoda para powoli zbliżała się do dwóch krzeseł ustawionych przed zabytkowym biurkiem.

– Proszę usiąść – zachęcił siwy mężczyzna. Wszyscy się podporządkowali.

– Chwileczkę, proszę poczekać. – Usłyszeliśmy od drzwi.

Wszystkie głowy obróciły się. Weszła Dominika, ubrana na żółto. Na głowie ogromny żółty kapelusz. Żółta sukienka cała w falbankach. Szła powoli, niosąc na rękach jamnika; drugi maszerował za nią.

– To niemożliwe – odezwała się Iza, z wysiłkiem dusząc w sobie śmiech.

Dominika postawiła na łąpkach tuż za parą młodą Pieska; Pucia dołączyła do nich. Jamniki były ubrane jak ona, na żółto. Jak ona miały falbanki naokoło wypasionych brzuszków, a na głowie kapelusiki. Najwidoczniej to ten sam krawiec był autorem sukienek i dla niej, i dla jej jamników. Ustawiła je jeden obok drugiego, poprawiła ubranka i czapeczki.

– Spokojnie, skarby moje, mamusia jest obok. Możemy zacząć – powiedziała, siadając za parą młodą.

Wszyscy podnieśli głowy, patrząc na burmistrza.

– He, he – chrząkał mężczyzna za biurkiem. – Drodzy państwo, zebraliśmy się dziś tutaj, aby połączyć węzłem małżeńskim te dwie młode osoby. Miłość, wartość największa na świecie, sprawiła, że dwie osoby stają się sobie bliskie, kochają się i dzielą ze sobą życie. Dbają o swoje potomstwo i wspomagają całą swoją rodzinę, braci i dziadków. Do obowiązków małżeńskich należy wspierać się w chorobie, w nieszczęściu, w niedoli, smutku po stracie najbliższych. Na drodze waszego życia będzie dużo przeszkód i niespodzianek. Jestem przekonany, że ty, Bob Rajner, przyszły mąż Aichy, docenisz, jak dobrą jest kucharką, i że będziesz obierał ziemniaki, gdy będzie przyrządzała gratin dauphinois. Będziesz dbał o drzewa w sadzie, rodzące te wspaniałe jabłka, z których Aicha przyrządza wymienitą szarlotkę.

– Co ma do tego gratin? I szarlotka? – myślałem. – Ale nudzi i do tego gada wcale nie na temat.

Jeszcze parę minut spokojnie słuchaliśmy jego nudnego gadania, potem uwaga wszystkich skierowała się w stronę jamników. Te, znudzone najwidoczniej monologiem, zajęły się swoimi ubraniami. Najpierw, z głową na ziemi, ściągały kapelusze – łąpkami uwalniały sprawnie uszy i głowę. Potem po mału zaczęły ciągnąć za falbanki naokoło grubych brzuszków. Słysząc było, jak targały materiał na strzępy. Na początku dość spokojnie, ale po jakiejś chwili Piesek pomógł Pucce, szarpał, za co się dało. Z kolei Pucia dzielnie uwalniała z ubrania



Pieska. Psy warczały, mocując się i ciągnąc co sił w pyskach za kawałki materiału, które jeszcze stawały opór. Kris nie przestawał naciskać na guzik, obracając aparatem to w stronę jamników, to w stronę panny młodej.

Młoda para wymieniła obrączki, ślubując sobie wierność i miłość aż do śmierci. Niestety już nikt nie zwracał uwagi na państwa młodych, wszyscy patrzyli na jamniki. Po chwili na psach nie było śladu po ubrankach, a obok nich leżały strzępy żółtego materiału. Wszyscy próbowali zachować powagę – na darmo. Większość gości dusiła śmiech, inni kaszleli, ktoś głośno smarkał do chusteczki. Iza wycierała pod oczami płynący makijaż.

Jamniki gołe, uwolnione z sukienek, siedziały zmęczone z językami na wierzchu.

– Teraz proszę o podpisy nowożeńców i świadków – powiedział burmistrz.

Panna młoda wstała i podeszła do biurka. To jakby dało sygnał jamnikom, że jeszcze jest ktoś, kto ma coś do targania, bo oto rzuciły się obydwa na suknię Aichy. Ciągnęły, warczały, szarpały zawzięcie. Pan młody próbował uwolnić brzeg sukni, ale nic z tego nie wyszło. Któryś z psów puścił ją rzeczywiście na chwilę, ale tylko po to, aby go ugryźć, i dalej, dawaj, szarpać, ile sił w pysku.

Wszyscy coś krzyczeli, ktoś się podniósł.

Iza przyciskała do ust chusteczkę i w końcu, dusząc śmiech, wyszła. Dominika próbowała złapać któregoś ze swoich pupilów – na darmo. Jamniki zręcznie umykały jej spod rąk.

Widząc, że nikt nie wie, co zrobić, a większość gości poddała się zespołowemu atakowi śmiechu, wstałem, złapałem jednego, potrząsałem nim – a ten jak się nie obróci i cap mnie za brodę.

Ugryźł mnie! O nie! Tego było już za wiele! Krzyknąłem na nie z całej siły:

– Siadać!

I – o dziwo – psy się uspokoiły. Trzymając jamnika na długość rąk przed sobą, wyszedłem na ulicę. Drugi, zdyszany, zrezygnowany, siedł za nami.

Iza zanosila się głośnym, zaraźliwym śmiechem.

– Maks, one zdecydowanie nie lubią tego koloru! – Po jej makijażu nie zostało nic. Wycierała zażawione oczy.

Po chwili wszyscy goście stali na chodniku i każdy się śmiał. Nawet Aicha śmiała się, oglądając swoją suknię. Na szczęście jamniki nie zdążyły porwać jej na strzępy, potargały tylko trochę... na tle całości nie było tak bardzo widać.

Ludzie z kafejki wyszli, żeby dokładniej przyjrzeć się temu niecodziennemu zjawisku. Także i z pobliskiego sklepu wyłoniło się parę osób, wszyscy ciekawi, co jest przyczyną tego zbiorowego napadu śmiechu.

Krzysztof nie przestawał robić zdjęć.

Dominika, najpierw trochę zawstydzona, oglądała straty, jakie zrobiły na sukni, ale teraz i ona dała się porwać atakowi śmiechu. Każdy komentował napad szału jamników.

Wreszcie uspokojeni już nieco goście rozeszli się do samochodów. Nadszedł czas na przyjęcie.

– Maks, przyjęcie jest w zamku. Ogrody są dziełem Madame Lili i jej ojca. Warto zobaczyć. Właściciele chętnie wynajmują sale na różne okazje: śluby, konferencje, wernisaże. To dobre rozwiązanie finansowe, utrzymanie takiego zamku kosztuje. Radzę wam rzucić okiem na całość – mówiła Berta w drodze do samochodu. – Nie masz czego się obawiać, tu podobno Lili nie bywa... chociaż... – ciągnęła.

– Nie ma o czym mówić, nie obawiam się, widziałem w akcji jamniki, to wydawało mi się groźniejsze jak Madame Lili – powiedziałem.

W progu zamku witali nas właściciele, najwidoczniej dobrze znali rodzinę Berty, zwracali się bowiem do wszystkich jej członków po imieniu. Dominika opowiadała, jak jamniki potraktowały swoje piękne ubranka.

– Szkoda, że nie widzieliście, jakie one były śliczne w sukieneczkach, jak bardzo było im do twarzy w czapeczkach. Taka szkoda, że nie widzieliście – mówiła z uśmiechem, pozbawionym jednak wcześniejszej wesołości. Żałowała najwyraźniej rozszarpanych sukienek.

– Rzeczywiście szkoda – odpowiedział kasztelan uprzejmie, choć z nutką kpiny, patrząc na zmęczone jamniki stojące u jej stóp. – Ale, Dominiko, Kris na pewno zdążył zrobić parę zdjęć, więc nic straconego, chętnie je obejrzę po wywołaniu.

– Oczywiście – powiedziała, idąc tam, gdzie kierowała się cała damska część wesela, twardo trzymając w rękach torebki, to znaczy do toalety.

Sala przyjęć, dawniej spełniająca rolę balowej, teraz zastawiona równo stołami i udekorowana, jak na taką okazję przystało – białe obrusy, zastawa, kwiaty, serwetki, równo ułożone przed jeszcze niezajętymi krzesłami czekającymi na gości. Zamek był stary, lecz nadzwyczaj dobrze zachowany. Opierał się twardo działaniu czasu. Zadbany, mądrze przerobiony, udanie adoptował nowoczesność. Właściciel wkomponował z gustem postęp dostosowany do wymogów współczesnej klienteli – budowla nie raziła spartaczoną, niedostosowaną do starej architektury nowością. Sufit i ściany całe były we freskach. Motyw przewodni stanowiły kosze owoców i kwiatów, co oczywiście spowodowało westchnienia zachwyty mojej żony.

Przy stole zajmowaliśmy miejsce obok Krisa i uroczej Charlotte, przyjaciółki Aichy, w tej chwili będącej towarzyszką wieczoru naszego fotografa. Dobrze pasowało do niej jej imię. Dyskretna, nieśmiała, mała, okrągła; głęboki dekolt ledwo mieścił jej okazałe piersi. Uśmiechała się do każdego, za to nie słyszałem prawie jej głosu.

Dwa krzesła przy stole długo były puste, ale w połowie obiadu ktoś położył rękę na moim ramieniu.

– Maks, co, samochód nawalił? Chyba nie dziś – szeptał do mojego ucha jakiś głos.

Obróciłem się – to był mechanik, który zajmował się naprawą mojego samochodu wtedy, kiedy...

– Moja żona, Ilona – dumnie przedstawił nam młodą dziewczynę, która na pewno nie miała połowy jego lat. Trzymał ją pod ramię, jakby chciał podkreślić swoją własność. – Kotku, to ten facet, o którym ci tyle opowiadałem. Ten adwokat z rozbitą głową, to on, przywitaj się – powiedział, popychając ją przed siebie.

– Miło mi, że mogli państwo przyjechać. Aicha i mój mąż dużo o was opowiadali – powiedziała z czarującym uśmiechem, zajmując wolne krzesło obok.

Ilona, jak widać, również była wtajemniczona w naszą przygodę, podobnie jak wszyscy jego znajomi. Obawiałem się, że będzie jeszcze raz opowiadał o tej historii, ale bezpodstawnie. Okazało się, że to właśnie Ilona była autorką toalety Dominiki i jej psów, a i suknia pani młodej również była jej dziełem. Tak więc kobiety od razu znalazły temat do rozmowy. No i oczywiście wszyscy opowiadali – jeszcze raz – jak to jamniki narozrabiały. Każdy zerkał na dwa rozpasione psy, które teraz zmęczone spały na poduszce u stóp Dominiki.

Kris, zafascynowany głębokim spojrzeniem Charlotte, prawie nie odrywał od niej wzroku. Topił się – jego błędne oczy śledziły jej ruchy i ginęły gdzieś między stołem i jej brodą. Nie miałem ochoty go ratować, poprosiłem go tylko, aby później raz jeszcze objaśnił mi działanie mojego nowego aparatu.

– Jak masz teraz ochotę o tym pogadać, to będę przy stawie, zrobię tam kilka zdjęć młodej parze – powiedział, podnosząc się z krzesła i rzucając niecierpliwe spojrzenie na Charlotte.

Szepnąłem do ucha mojej żonie, że przewietrzę się trochę w parku i zrobię kilka zdjęć, co przyjęła ze zrozumieniem. Obiad przeciągał się. W międzyczasie gości zabawiła orkiestra. Razem ze mną przed zamek wyszło kilka osób, które zajęte były rozmową, najwidoczniej miały wspólne wspomnienia. Na stare mury zamkowe nikt nie zwracał uwagi.